

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku

TREŚĆ NUMERU.

- | | |
|--|---------------|
| 1. Od Redakcji | Redakcja. |
| 2. Noc wigilijna | V. k. m. |
| 3. Gwiazdka Janeczki | J. |
| 4. Bajka w życiu dziecka | V. k. m. |
| 5. Las w zimie | Bożenna I z. |
| 6. Nadzieja | L. M. III z. |
| 7. Na stanowisku | Laszka. |
| 8. Dla Ciebie Czesiu | IV. k. m. |
| 9. Z dziedziny myśli i uczucia | Kotłowski. |
| 10. Komunikat Rady Naczelnej w sprawie przysz-
łych wyborów | Rada Naczelna |
| 11. Odpowiedzi Redakcji. | Redakcja. |



Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl” Państwowe Semi-
narjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor: Grzegorz Onacik.

Redaktor odpowiedzialny: pr. P. Gajdzica.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

Do członków naszego Stowarzyszenia.

Jeżeli sięgniemy myślą wstecz i rozpatrzmy to wszystko, co zrobiliśmy, jakąż będziemy mieli odpowiedź?

Czy będziemy mieli prawo powiedzieć, że wszystko, co mogliśmy zrobić, zostało zrobione, czy też nie?

Poglądy ludzkie nie są stałe. Ilekroć to razy śmiejemy się z tego, co niegdyś nas pociągało, lub odczuwamy niesmak, pewne niezadowolenie wówczas, gdy ktoś nam powtórzy myśli i sądy, zwolennikami których byliśmy dawniej. Wypływa to z ciągłej ewolucji poglądów. Napewno, gdyby to było w możliwości ludzkiej, niejeden człowiek chciałby się zaprzeć dawnych swych twierdzeń, zapatrywań, myśli.

Aby osądzić, czy rola nasza w tym roku została spełniona i w jakim stopniu, należy oderwać się całkowicie od naszych obecnych stosunków, należy stanąć poza sferą naszych zapatrywań obecnych i kierunku myślowego. Możliwość taka dla nas, jest wykluczona, a więc i odpowiedzieć z całą stanowczością na powyższe pytanie nie możemy. Zapewne, rozważając tę sprawę pod kątem widzenia czysto formalnym, powiemy, że wszystko, co do nas należało, wypełniliśmy i nikt nam nie zarzuci, że tak nie jest, lecz sięgając w głąb świadomości naszych, znaleźlibyśmy sporo kwestyj, które według obecnego naszego zapatrywania należałoby ująć inaczej, niż tego dokonano. Nic dziwnego: robiąc przegląd działalności minionej, zawsze znajdujemy cały szereg błędów, lecz błędy te nie są, że tak powiem, błędami w swej istocie, gdyż wszystko zależy od tego, z jakim zasobem wiadomości i kierunkiem zapatrywań na daną sprawę rozpatrujemy działalność minioną. Z drugiej strony, czy należy zbyt ubolewać nad tem, że myśl, wyrażona dawniej, obecnie stoi w sprzeczności z poglądami naszymi?

Niezadowolenie z działalności poprzedniej, świadomość, iż obecnie poprowadzilibyśmy daną pracę inaczej, dowodzą roz-

woju, dowodzą żywotności myśli, o co nam przedewszystkiem powinno chodzić. To też niech nie dziwią się ci, którzy posłyszają, iż w organizacji naszej są pewne niedogodności, które jednak będą wkrótce usunięte.

Życie jest w ciągłym ruchu, a więc i jego przejawy muszą być zmienne.

Redaktor.

NOC WIGILIJNA.

Noc mroźna, iskrząca się miliardami gwiazd, zstępuje na ziemię. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zgasły. Uroczysta cisza panuje wszędzie. Chwila spoczynku i ukojenia nadchodzi. Gdzieś, w oddali, zamigotała gwiazda... jedna... druga, aż wreszcie całe ich miliardy zapaliły się na błękitnym tle firmamentu niebieskiego.

Witaj, uroczysta chwilo! Z jakim podziwem i wzruszeniem czeka na ciebie każdy, komu nie obce są uczucia miłości względem swych bliźnich. Jaką radością i niewytłumaczonym dreszczem przejęta jest cała nasza istota, gdy staniamy wobec tej chwili.

Cudowna noc! Noc czarująca! Ileż uczuć, ile myśli nawiadza nas z chwilą, gdy na niebie błysną pierwsze gwiazdy, zwiastujące światu, że przyszedł jego Zbawiciel. Myśl nasza wówczas mimowoli odrywa się od teraźniejszości, a przenosi się daleko w przeszłość, w owe czasy, gdy ludzkość, grzesząc w moralnym zepsuciu i zwyrodnieniu, zrozumiała nareszcie, że dalej tak być nie może, że Ten, który dał jej początek, nie dopuści do ostatecznego upadku. Gdy zaś to zrozumiała, chociaż bardzo niejasno, choć nie wyobrażała sobie, jak to ma nastąpić, z niecierpliwością i ze strachem oczekiwała chwili uzdrowienia.

Prawie dwa tysiące lat temu nastąpił ów cud, który po dziś dzień, gdy go sobie przypominamy, wzbudza w nas uczucia nie z tego świata, nastąpił fakt uzdrowienia ludzkości, pchnięcia jej życia na inne tory, nadania jej myśli innego kierunku. Dwa tysiące lat temu Boża Myśl, tchnąca bezgraniczną miłością do wszystkich i wszystkiego, znalazła swego wyraziciela, który głosił ją światu swem życiem.

Świat często zbacza z drogi prawej, lecz Boski jego pierwiastek istnieje i czuwa zawsze: im głębiej ludzkość pogrąży się w odmęty zła, tem wyraźniej występuje myśl odwiecznie czysta, Boska, która swe wieczne Piękno i Prawdę objawia ludzkości w słowie Boga i nauce Jego Syna.

Kiedy się wpatrzymy w nieobjętą głębię nocy wigilijnej, czyż nie dostrzegamy w niej istotnie czegoś Boskiego, czegoś, co nie może być podciągnięte pod katagorię zjawisk powszednich? Te gwiazdy, co migocząc na jasnym sklepieniu niebios, zdają się radosne, ta cisza w przyrodzie lub trwożny szept ła godnego powiewu wiatru; ten jakiś dziwnie uroczysty nastrój, pełen ważności chwili, który mimowoli udziela się naszej świadomości i przenika naszą istotę — wszystko to czyż nie świadczy o chwili niepowседневiej? Cudowna nocy! Nocy wigilijnej! Kto dotychczas mało zwracał uwagi na tę noc, ten jej nie zna, ten nie zna uczuć Boskich, jakie nawiedziłyby wówczas jego duszę gdyby się jej przypatrzył. Mówią, że tylko człowiek niewinny, jak dziecko, może odczuć boskość takiej nocy. Wpatrzmy się w nią.

Pośrodku nieba płynie księżyc, spokojny, jasny, z uśmiechniętą twarzą, a za nim i przed nim grupują się korowody gwiazd, które to w swawolnych gromadach zabiegają mu drogę, to nagle się rozsypują na strony, aby znów złąć się poza nim i odprowadzić go migotliwą, niesforą gromadą.

Firmament niebieski, jakby wielki szafirowy namiot, rozpięty nad ziemią, zdaje się rozszerzać do nieskończoności, stanowić całość, lecz całość nieobjętą, nie mającą granic.

W powietrzu unosi się jakaś mgła przezroczysta i prawie niewidoczna, która drga i mieni się różnemi kolorami w srebrnych promieniach księżyca. Cała przyroda, jakby przejęta wspomieniem wielkiego cudu, jakoś dziwnie uroczysta. Uroczyste też wyglądają przydrożne drzewa, ubrane w odświętną szatę z iskrzącego się szronu, owiane mgłą, która, jak dym ofiarnego kadzidła, unosi się nad ziemią.

Gdy idziecie w taką noc do pobliskiej świątyni, aby oddać cześć wielkości nieobjętego umyślem ludzkim Boga i rzucicie okiem na roztaczającą się przed wami panoramę, czyż nie czujecie wówczas, że wszystko to, co dookoła was się roztacza, tworzy niewystowienie piękną całość, całość, która dziwny urok wywiera na każdej nawet najgrubszej naturze?

W zgiełkowych miastach zatracą się ten nastrojowy charakter nocy wigilijnej, lecz tam, daleko od tego hałasu, od tego wielkomięjskiego zgiełku, obecność Boga łatwiej da się odczuwać poprzez czar tej nocy — „gdy się Chrystus rodzi”. I gdy pośród cichej pogrążonej jakby w niemy zachwyty przyrody natężycie ciekawe ucho, doleć Was jakieś dalekie, drżące głosy — te same chyba, które niegdyś zwiastowały światu jego zbawienie. Wyobraźnia odtworzy z mistrzowską

plastyką obraz, który tak głęboko wrył się w waszą pamięć: zobaczycie aniołów, którzy — lecąc w lazurze przyćmionego nieba, głoszą światu błogą wieść:

„Chwała Bogu na wysokościach,
Pokój ludziom dobrej woli“...

O cudowna nocy wigilijna!

GWIAZDKA JANECZKI.

Szary grudniowy ranek. Janeczka zbudziła się wcześniej. Natychmiast też poczęła się ubierać i myć, bo pamiętała, że dzisiaj wigilja i trzeba być grzeczną, bo aniołki mogą pogniewać się i nie przynieść gwiazdki. Po śniadaniu pojedzie z braciuzkiem do lasu po choinkę. Bardzo się z tego cieszy i nie może doczekać się tej chwili, kiedy siędą oboje do sanek i pomkną szybko białą drogą.

Nareszcie! Już jadą!

Janeczka siedzi otulona w ciepły płaszczyk; na głowie ma czapeczkę, z pod której wysuwają się niepostudzane loki. Błękitne jej oczęta śledzą wszystko dokoła z żywością i zaciekawieniem. Pierwsze drzewa lasu. Śnieg otulił je swymi płatkami. Stoją takie wielkie, ciche, zamysłone. Dzieci wsiadły. Tadzik przywiązał konie do sosenki, stojącej na uboczu, i oboje pobrnęli wśród śniegu szukać ładnej choinki.

— Może ta? — proponuje Tadzik.

— Oj, nie, patrz, jaki ma krzywy wierzchołek — woła Janeczka i biegnie dalej, tocząc się jak mała, ciemna kulka po białej polance. Wreszcie oboje zgadzają się na jedną naprawdę prześliczną choinkę. Jest wysmukła i taką ma piękną, zieloną barwę. Tadzik ścina ją swym małym toporkiem i zanosi na sanki. Janeczce chciałoby się jeszcze być w lesie. Znalazła jakiś krzak głogu, na którym widniało kilka czerwonych owoców. Postanowiła je urwać. Niestety, gałązki głogu były tak kłujące, że w żaden sposób nie mogła tego dokonać. Wreszcie Tadzik zaradził temu i swym ostrym scyzorykiem uciął wszystkie czerwone owoce ku wielkiej radości siostrzyczki. Teraz oboje prędko pobiegli do sanek, bo już porządnie dokuczyło im zimno. W kilkanaście minut potem byli już w domu i z triumfem dźwigali drzewko do kuchni, by tam, stojąc niedaleko pieca, „wypłakało się“ dowoli. Rzeknawszy wkrótce Janeczka ujrzała kropie wody, spadające

na podłogę. Niebawem choinka była już zupełnie sucha. Tadzik osadził ją na drewnianej podstawie i po obiedzie Janeczka razem z mamusią zabrała się do jej ubierania. Czegoż nie umieszczono na tej choince! Kolorowe świece, złożone orzechy i szyszki, „śnieg“, „deszczyk“, czerwone jabłuszka, rozliczne zabawki.

Powoli zapadał mrok.

Wszystkie przygotowania wigilijne skończyły się. W jasno oświetlonym pokoju jadalnym białł stół, zasłany obrusem, a na nim stały już nakrycia, przygotowane do wieczery. Janeczka biegała dokoła stołu, usiłując wyciągnąć z pod obrusa najdłuższe ździebelko siana. Czekało tylko na pierwszą gwiazdkę na niebie, by rozpocząć dzielenie się opłatkiem. Niecierpliwa Janeczka wybiegła do przedpokoju, włożyła na siebie płaszczyk i z trudem otworzyła drzwi wchodowe, wydosłała się na podwórze. Szaro już było, ale żadna gwiazdka nie mru-gała jeszcze na niebie. Chcąc pochwalić się przed Tadzikiem, że nie boi się ciemności, postanowiła Janeczka obieć dokoła podwórza. Były to czasy okupacji niemieckiej i we dworze rodziców Janeczki stał oddział żołnierzy niemieckich. Zajmowali oni drugą część domu z osobnym wejściem. Przechodząc koło tego wejścia, zauważyła dziewczynka ciemną, nieruchomą postać sztyldwacha, stojącego na warcie. Pamiętając o tem, że dzisiejszego wieczoru prawdziwi chrześcijanie muszą się cieszyć z narodzenia Boskiego Dzieciątka, zbliżyła się Janeczka do żołnierza, bo ta postać nieruchoma wywierała na nią przykre i smutne wrażenie. Stała przed nim i spytała:

— Panie żołnierzu, czy ty też wyglądasz pierwszej gwiazdki i czy dlatego jesteś taki smutny, że jej dotąd niema?

Żołnierz patrzył na nią przez chwilę i odrzekł łamaną polszczyzną:

— Nie, mała dziewczynka, ja stać tu całe dwie godziny.

— I nie będziesz miał wcale wigilji? — pytała dalej rezolutna dziewczynka.

— Nein — odpowiedział innym już głosem i językiem Niemiec, bo wydało mu się, że słyszy kroki wychodzącego z mieszkania oficera. Przełęczona Janeczka biegła wprost do domu. W głowie jej dojrzywał pewien plan. Biedny żołnierz — rozmyśla dziewczynka — nie będzie miał wigilji, nie będzie miał choinki, a przecież dzisiaj wszyscy muszą być zadowoleni, weseli. Trzeba go też pocieszyć, sprawić mu jakąś przyjemność.

Cichutko wbiega Janeczka do bawialnego pokoju, gdzie niewyraźnie wśród mroku rysuje się sylwetka choinki bierze

ładny, kolorowy woreczek, pakuje doń zerwane z choinki jabłka, cukierki, orzechy, nawet kilka zabawek, i z tem wszystkim biegnie na podwórze do żołnierza. Staje przed nim, wysuwa rączkę i mówi:

— Aniołki mi powiedziały, by ci to oddać. Zdziwiony żołnierz bierze paczkę. Janeczka ucieka i słyszy tylko słowa:— Danke schön... Herr Jesus... Herr Jesus...

Dziewczynka biegnie do domu, gdzie wszyscy szukają jej z niepokojem. Pierwsza gwiazdka świeci już jasno. Tatuś bierze opłatek, dzieli się z mamusią, potem zbliża się do Janeczki, przełamują oboje opłatek i tatuś unosi Janeczkę wysoko do góry, całuje ją, a ona śmieje się i jednocześnie z oczą jej spływają łezki. J.

Bajka w życiu dziecka.

Jak sen jaki uroczy minęły lata mego dzieciństwa i jestem obecnie prawie dorosłym człowiekiem. Pierzchnęły moje młode lata tak, jak pierzchają spłoszone marzenia: lekko, niepostrzeżenie, zdradliwie. Skończyły się z chwiałą, gdy zacząłem się budzić ze złotych snów dzieciństwa, gdy zacząłem patrzeć na życie nie przez pełne zachwyty, szeroko otwarte oczy dziecka, lecz przez pryzmat czarnego losu, jaki zawisł nade mną w chwili mojej piewszej znajomości z powagą życia.

Zbiegły lata młodości i nie powrócą, gdyż niema takiej siły, któraby mogła cofnąć dnie, co płyną gdzieś w dal bezgraniczną, nie mającą kresu...

Gdy życie odsłania nam swe surowe oblicze, gdy konieczność walki o byt staje się zagadnieniem, pochłaniającem całą naszą duchową istotę, gdy nieubłagana rzeczywistość zdaje się wyzierać z każdego kąta naszego domu, grożąc nam lub dotkliwie przypominając potrzebę ciągłości czuwania, wtedy nieraz myśl nasza bezwiednie odrywa się od chwili obecnej i ulatuje w czasy minione, wywołuje w wyobraźni naszej obrazę złotej przeszłości, aby ją jeszcze raz przeżyć — we wspomnieniach. Przypominają się nam zdarzenia z tego czasu, który jako najbardziej odległy wrył się w naszą pamięć i w niej pozostał. Jakże błogie uczucia nawiedzą nas, gdy sobie przypomnimy jakiś epizod z tych najodleglejszych czasów naszego życia, jakiś fakt, którego szczegóły już się zatarły, lecz całość w mglistych, jakby rozplływających się w różowej mgłę konturach pozostała w naszej pamięci. Oczyma duszy widzimy drogie nam istoty, jakimi każde chyba dzieciń-

stwo otoczone być musiało, z których atoli obecnie pozostało już tylko wspomnienie.

Dziś lata dzieciństwa znów wróciły do mojej świadomości, znów wszystko, czem żyję, wydaje mi się, jak ongiś, nieznane, kryjące się pod zasłoną tajemniczości, ale z zalotnie uśmiechniętą twarzą.

Witam was, złote obrazy drogiej przeszłości!

Niech jeszcze raz patrzę i czuję tak, jak ongiś, niech znowu wzrok mój zachwyca się temi obrazami, jakie niegdyś stwarzała moja dziecięca fantazja!

Niech ożyją owi bohaterowie z bajek, owe zaczarowane królewny, przemienione w płaczące brzozy przez złych czarowników! Bajki czarowne, bajki cudowne!... Któż wypowie, czem jesteście dla dziecięcych umysłów!

Trzeba na nowo stać się dzieckiem, trzeba znów czuć i myśleć jak dzieci, aby móc wasz wpływ ocenić, trzeba połączyć mistrzostwo słowa z zachwytem duszy dziecięcej, aby wyrazić ten podziw dla was, bajki cudowne, to łakome pożądanie, z jakim bez końca chciałaby się upajać wami dusza dziecięca.

Gdy w czas wieczorny zbiorą się starsi, aby po dziennej pracy wypocząć i dzielić się wzajemnie swemi wrażeniami, gdy jednostajnie zacznie warczeć wrzeczono w rękach starej babci, za oknem wyje wichura, a mróz zimnej nocy przeziara przez obie-lone mrozem szyby okien, wówczas dusza dziecka staje się tym rezonatorem, który trwożnie chwyta każdy dźwięk, każdy szmer, każdy odgłos zimowej nocy, a wylbrzymiając to wszystko, rozgląda się dokoła z trwogą, lecz zarazem z ciekawością i chęcią poznania. Jakie silne wzruszenie wstrząsa duszą dziecka słuchającego bajki, którą opowiada dobroduszny staruszek! Dziecko, nie tylko słyszy, ono widzi na jawie fikcyjne obrazy, przeżywa wszystko to, co jest treścią słyszanego opowiadania. Przykucnąwszy gdzieś pod przypieckiem, bojąc się obejrzeć, by się nie spotkać czasem ze wrokiem jakiego króla wodnego albo zielonej rusałki, w raz przyjętej pozie trwa przez całe godziny. Jakim dreszczem przejmują je opowiadania o habie jędzy, która w otoczeniu całego sztabu przeróżnych straszdeł wędruje po lesie; jaki żal wzbudza w dziecięcem serduszkku powieść o nieszczęśliwej królewnej, która siedzi uwięziona w niezdobytym zamku, strzeżona przez ziejące ogniem potwory o dwunastu głowach! Skończyła się bajka i rozmowa potoczyła się w innym kierunku, lecz wyobraźnia dziecięca nie przestaje snuć dalszych kolei bohaterów bajki. Cały szereg obrazów najfantastyczniejszych, z których dziecko nie zdaje sobie sprawy, powstaje przed jego oczyma, tysiąc barw i światłał najróżnorodniejszych miga i skrzy się przed

oszołomionym wzrokiem dziecięcej duszy, tworząc całość, która mieni się kolorami tęczy, drga tysiącem nieuchwytnych, dziwacznych kształtów i sprawia wrażenie jakiegoś dziwnego stanu, który możnaby umiejscowić na pograniczu rzeczywistości i świata fantazji.

Ileż razy popadałem właśnie w stan, w którym rozigrana wyobraźnia przenosiła mię w krainy, o których mówi bajka.

Gdy dziś spotykamy się z taką bajką, twarz nasza układa się w grymas, który wyraża niesmak, graniczący z lekkim niezadowolaniem, lecz ileż to dzieci pożąda tej bajki całym wysiłkiem woli, pożąda dlatego, że daje ona ich głodnej wyobraźni smaczny pokarm w wielkiej obfitości.

Nie każde dzieciństwo upływa wśród sprzyjających warunków; wiele jest dzieci takich, które nie doznają należytej opieki ani nad swym rozwojem duchowym, ani nad cielesnym. Ponieważ sam spędziłem lata mego dzieciństwa na wsi, przeto wiem dobrze, w jakich to warunkach przeważnie wzrasta nasza młodość wiejska. Ale, dzięki młodości, nie czuje ona zgoła surowości tych warunków, gdyż dzieciństwo, nawet w najgorszych warunkach, zawsze pozostaje tym okresem złotym, który nie zna ni trosk, ni goryczy, który wśród okoliczności nieznośnych dla starszych potrafi żyć z uśmiechem na twarzy.

Kto często widywał dzieci wiejskie, kto żył z niemi, ten musi je ukochać. Nie są to wprawdzie dzieci ugrzecznione, ładnie ubrane, lecz jest w nich coś takiego, co nastraja melancholijnie, pobudza do współczucia, do rozmyślań nad ich przyszłością. Wpatrzcie się w nie, kiedy was obkoczą całą gromadą, skoro się ukazecie na wsi, mając ze sobą czy to jakiś przedmiot im nieznany, czy wogóle, gdy zjawicie się po raz pierwszy, jako człowiek dla nich nowy. W ich szeroko otwartych oczach wyczytacie zdziwienie, nieprzewartą ciekawość, oraz jakiś cień dziwnej melancholji, połączonej z bojaźnią. Spróbujcie wykonać jakiś żywy ruch, a pierzchną, jak spłoszone stado wróbli. Warunki, w jakich żyją, uczą je od dzieciństwa odnosić się do wszystkiego z pewnym niedowierzaniem, z pewną nieufnością.

Wyobraźnia dziecka wsi i dziecka miejskiego w jednakowy sposób łakoma jest na bajki, w równym stopniu potrzebuje materiału, aby miała z czego stwarzać swe fantastyczne obrazy. Dzięki bajce każde nowe wrażenie staje się podstawą, na której dziecko buduje nowe gmachy fantazji, snuje nowe przypuszczenia; często jakaś nowa wiadomość rujnuje to wszystko, co dotąd dziecko uważało za zupełnie możliwe; staje się to nieraz przyczyną jego zmartwienia, lecz ostatecznie na ruinach jednego przypuszczenia powstaje inne, jeszcze bogatsze.

Sięgnijcie myślą wstecz i przypomnijcie sobie owe czasy, gdy po raz pierwszy, umiając już czytać, otrzymaliście ładną książkę z bajkami. Z jaką to chciwością pochłanialiście każdy wyraz czytanej bajki, jak niepokoili was losy osób w niej występujących, jakim żalem przejmowała was wiadomość, że osobie najwięcej sympatycznej grozi niebezpieczeństwo, i jak wreszcie cieszyliście się, gdy wszystko pomyślnie się ułożyło pod koniec opowiadania. Wystarczyło, że jedną tylko przeczytaliście bajkę, aby powstała w was nieprzewartą chęć jak najczęstszego czytania i słuchania coraz to nowych. Często pod wpływem obrazów strasznych wyobraźnia wasza stwarzała jeszcze straszniejsze, które przejmowały was grozą. Czasami opowieść o jakimś okropnym zdarzeniu prześladowała was całymi tygodniami, mieliście ją jakby żywą przed oczyma, lecz mimo to chętnie słuchaliście podobnych opowiadań. Człowieka bowiem od zarania jego życia pociągają zdarzenia i zjawiska mocno działające na jego wyobraźnię, i chociaż umysł jego skłonny jest potępić wszystko to, co zakłóca spokojny, cichy żywot, wyobraźnia często lubuje się w burzach, zmiatających z oblicza ziemi tysiące istnień — kataklizmy w życiu ludzkim są zarazem źródłem jego poezji.

Teraz, gdy już kilkanaście lat dzieli was, koledzy i koleżanki, od minionych złotych chwil dzieciństwa, bajka was nie pociąga. Życie wasze wymaga innych wrażeń, wyobraźnia innej strawy, lecz pamiętajcie, że to, co niegdyś was tak pociągało, co było jednym z głównych czynników, jakie wpłynęły na ukształtowanie się waszej fantazji i umysłu, obecnie jest również zagadnieniem aktualnym, nie dla was oczywiście, lecz dla tych młuczki, którzy przechodzą okres dzieciństwa.

Chcąc zatem wytworzyć w dziecku naturę bogatszą, nie skąpcie pokarmu dla jego żywej i bardzo czynnej wyobraźni.

Nic to, że niejednej rzeczy dziecko nie zrozumie. Z jasnego obrazu barw i kształtów z biegiem czasu zaczną się wyłaniać więcej określone formy, a zasób wyobrażeń, nagromadzonych w podświadomości, stanie się skarbnicą, z której człowiek, wyszedłszy z okresu dzieciństwa, będzie korzystał przez całe swe życie.

LAS W ZIMIE.

Cichy, poważny las.

Stoi wielki, potężny, okryty białym puchem śniegowym. Zadumane stoją świerki, jodły i sosny w swej ciemno-zielonej szacie, na której srebrnym pokrowcem rozesał się śnieg.

Stoi las niemy. Zamarło w nim życie i tylko wieher mroźny wprawia w ruch skostniałe gałązki. Śnieg sypie tumanem i na dumnych, wyniosłych wierzchołkach drzew ściele się białym całunem.

W zadumie pogrążony stoi las. Duma o wiosnie przedcudnej, co zbiegła szybko, jak spłoszona sarna z leśnego uroczyska. I chwieją się korony wielkich drzew i szumią tajemniczo, a tak osobliwie, jakby się radowały, że wiosna dla nich jeszcze powróci.

Po lesie rozległ się huk Hej, kto to śmie mącić spokój zadumanych olbrzymów? Śmiałek stoi pod wielkim świerkiem i w gruby jego pień uderza błyszczącym żelazem! To człowiek. Tak mały i nikły wśród tych olbrzymów, a tak dla nich niebezpieczny.

Jęk rąbanego drzewa złowrogim echem rozległ się wśród pni siostr-sosen i braci-świerków. Skarzył się wielki „chojar“, a drzewa dookolne odbijały jego skargę i niosły ją hen, po lesie. A on, napadnięty przez człowieka, długo się skarżył, aż powalony mocarną ręką napastnika, padł z łoskotem u jego stóp.

I cisza znów zaległa las. Chwiały się tylko korony wielkich drzew i zdawały się dziwić, że dla nich jeszcze wiosna powróci, a stary świerk nieboszczyk więcej jej nie ujrzy. I stały drzewa poważne, ciche, jeszcze więcej zadumane i czekały na swe Przeznaczenie.

Bożenna I ż.

NADZIEJA.

*Jeden jest promień, który prowadzi
Ludzi do celu pomimo zawiei,
Jeden, a silny, bo go nie zgładzi
Zadne zwątpienie — to promyk nadziei.*

*Nieraz, gdy człowiek rozgoryczony
Chwieje się i nad przepaścią zawisnie,
Szybko podnosi swój duch zwątlony,
Kiedy mu iskra nadziei zabłyśnie.*

L. M. III. ż.

Na stanowisku.

(Nowelka na tle zdarzenia rzeczywistego).

Ranek wstał mroźny, skrzący się w promieniach słońca tyśiącami srebrzystych igiełek. Nad światem panował stary, siwy mróz: zaglądał do małych okienek niskich wiejskich chat, do dużych okien bogatych gmachów i swym lodowatym oddechem rysował na szybach fantastyczne wzory.

W małej chatce, stojącej za miastem, mróz rozgościł się na dobre. Nad oknami u okapu porozwieszał cudne festony z lodowych sopli, szyby zamienił w jakieś czarodziejskie tafle, na których zaklął całe drzewa, kwiaty, lasy, nawet coś nakształt rycerzy, śpiących na lodowatych koniach.

Mały Janek nie mógł spać dłużej. Tak mu było zimno pod lekką kołderką, że wstał, ubrał się i zaczął oglądać arcydzieła mrozu. Pozrywał sople lodu, wiszące u okien, potem zaczął chuchać na szybę, chcąc roztopić jakiś śliczny kwiat i przez wolną od lodu przestrzeń spojrzeć na świat ciekawem okiem. A było na co patrzeć za Janka okienkiem. Ież to przypominało mu się chwil wesołych, gdy spojrzał na drogę, na której inni chłopcy, jego znajomi, zwykli się bawić latem to w palanta, to w guziki. Janek zawsze w palanta wygrywał, bo nikt tak daleko piłki odbijać nie potrafi, jak właśnie on. Jak uderzy, to ze świstem leci ciemna kulka-w powietrzu daleko, wysoko, że nikt jej złapać nie może.

Ale z guzikami była gorsza sprawa: nigdy nie mógł tak dobrze uderzyć, żeby wygrać. Ież to on guzików przegrał w tym roku! Raz nawet nie mógł iść do kościoła, bo poodpruwał guziki od świątecznego ubrania. Mama się wtedy bardzo gniewała na niego.—Miała rację—myśli Janek—tyle guzików przegrać!—muszę się w tym roku nauczyć lepiej rzucać i odegram wszystkie.

Ale do lata jeszcze daleko.

Znudziło się Jankowi patrzeć na pustą dziś drogę, więc odchuchał jeszcze kawałek szyby i spojrzał w drugą stronę, gdzie powstrzymana w swym biegu rzeczka lśniła zdala swą lodową powłoką.

— Zimno dzisiaj i lód napewno będzie dobry—myśli Janek. Obiecał mu Józik za zrobienie pudełeczka pożyczycy na cały dzień łyżew — to dopiero będzie przyjemność. Mamy, jak zwykle, cały dzień nie będzie w domu, bo musi sprzedawać gazety, a jego pośle do miasta po zakupy. Pojedzie więc Janek na łyżwach do miasta, nawet po wodę będzie mógł na łyżwach pojechać, a po obiedzie, gdy już nic nie będzie miał do roboty

pójdzie ślizgać się po rzeczce. Tam, przy starej wierzbie, usiądzie... włoży łyżwy...

Wtem rozmyślania jego przerywa cichy szept matki:—Janku, czyś ty już wstał?—Wstałem, mamu—odpowiada Janek—i za jednym skokiem znajduje się u jej łóżka.

— Pomóż mi się ubrać, Janku! Takam dziś słaba, a tu już czas iść do kiosku sprzedawać gazety.—Ależ, mameczko, jak jesteś chora, to zostań dziś w domu—mówi Janek. — Nie mogę, Janeczku, bo gdy dziś nie zapracuję, jutro nie będziemy mieli za co kupić węgla i zmarzniemy w naszej chatce.—To prawda, ja też nie chcę, żeby u nas było jutro zimno, to też pójdę za ciebie dzisiaj do kiosku i zarobię te pieniądze, coś ty zarobić miała. Ty zaś, mameczko, odpoczniesz sobie i jutro będziesz już zdrowa zupełnie.—Ty nie możesz iść Janku... tam jest tak zimno... zmarzniesz i zachorujesz mi...—Otóż pójdę i pokażę mamie, że nie jestem zmarzlakiem; jestem pewny, że mi będzie bardzo ciepło, zapewnia Janek,—a w myśli dodaje: będę miał sposobność zapracować na te przegrane guziki.

I już nie myślał o łyżwach, tylko ubrał się prędko i poszedł do pracy. Na dworze białe płatki śniegu spadały wolno na czapkę Janka. Może to Bóg błogosławił pierwszą pracę dzieciny, a za każdym poruszeniem świętej ręki spadały z nieba skrzące gwiazdki.

Janek szedł dumny, że to on dziś naprawdę pracować będzie. W kiosku poukładał przysłane gazety tak, jak to robiła zwykle jego mama. Przychodzili kupujący. Janek sprzedawał. Spieszył się, by nikt długo nie czekał; uważał, żeby dobrze wydawać resztę pieniędzy i tak pilnie pracował, że nie zauważył, jak mu skostniały z zimna nogi, obute w stare, podarte trzewiki. Po obiedzie ilość kupujących zmniejszyła się, tylko od czasu do czasu ktoś poprosił o gazetę, wreszcie już nikt nie przychodził.

Janek poczuł, że mu jest bardzo zimno. Nie chciał jednak iść do domu, bo przecież, wychodząc, zapewniał, że zmarzlakiem nie jest. Posiedzi jeszcze trochę—może kto przyjdzie po gazetę—będzie miał zajęcie i nie będzie czuł zimna jak teraz.

Siedzi Janek i patrzy w okienko kiosku. Na dworze zapada szary zmierzch. Ludzie śpieszą do domów, otuleni w zimową odzież. Czasem słychać wesoły dźwięk dzwonków, to jadą sanki. Dźwięczą dzwonki mile, coraz ciszej, ciszej, a Jankowi przypomina się rzeczka za oknem. Tam napewno teraz chłopcy jeżdżą na łyżwach, na sankach, może się dziwią, że jego tam nie ma. Wstaje Janek i chce biec już do domu—ale nie! nie pójdzie! On musi tu zostać bo gdyby poszedł, mama ni-

gdyby już się nim wyręczyć nie chciała. Zimno jest, bardzo zimno, ale to nic: choć teraz zmarzniesz, w drodze do domu będzie biegał, rozgrzeje się i nawet nikomu nie powie, jak mu było zimno. Gdy przyjdzie, mama będzie już zdrowa siedziała przy kominku, na którym płonie ogień taki wesoły, taki gorący...

On przyniesie pieniądze i będą mogli kupić węgla i będzie im ciepło i dziś i jutro...

Ale teraz coraz go więcej bolą zmarznięte rączyny i nogi, tak bolą! Już nie wysiedzi dłużej, musi już iść do domu do mamy.

Drobna skostniała rączyna błądzi w powietrzu, jakby szukała klamki. Na brwiach i policzkach dziecka mróz rozsypuje szkliste igielki, a w zmęczonej główce roją się dziwne sny.

Oto zdaje się Jankowi, że otwiera drzwiczki kiosku i wychodzi na ulicę. Chce biec do domu, ale zmarznięte nogi z trudem się posuwają; na ulicy taki lód, tak ślisko! Janek idzie i idzie, ale domu coś nie widać. Może zbłądził? Nie może iść dalej, bo już mu sił nie starczy. Siada więc na schodkach jakiegoś domu i płacze. Wtem czuje na swej głowie dotknięcie czyjejś dłoni, zimnej, jeszcze zimniejszej, niż jego zmarznięta twarzyczka. Ale koło niego niema nikogo... lecz cóż to? czy go oczy mylą?.. wszak siedzi na progu swej chaty!... Chce wejść do wnętrza, ale jakaś siła trzyma go na miejscu i wstać nie pozwala. Janek przechyla głowę, jak do snu, i już mu nie jest tak bardzo zimno, tylko go senność jakaś ogarnia. Zdaje mu się, że wstał niedawno i siedzi w domu przy oknie zmarzniętem. Tak... doprawdy... to jego chatka... tam mama siedzi wesoła, uśmiechnięta i woła go do siebie: Janku! Janeczku!

Ale Janka ogarnia taka dziwna niemoc, że nie potrafi wstać i iść do mamy. Patrzy tylko przez odchuchaną szybę na pola szerokie, na te wierzby nadrzeczne, co wyciągają nagie, ośnieżone ramiona ku niebu, i szepcze:—Nie pójdę już, mamu, gazet sprzedawać, nie pójdę, mamu... tam było tak bardzo zimno...

Ale nie słyszy, co mama na to mówi, bo z zamrzniętej szyby okiennej schodzi jakaś pani w długiej, przezroczystej szacie i rozściela po chatce białą, mglistą zasłonę. Nie widzi już Janek mamy, bo go coraz ciasniej ogarnia ten mglisty krąg, coraz mu milej, ciszej, cieplej i słyszy koło siebie cichy szept: Śpij Janeczku!.. napracowałeś się dzisiaj, teraz spij! Nie wie Janek, kto to mówi: czy mama, czy też może owa biała pani, ale ten szept jest tak słodki, że uśmiech zjawia się na twarzyczce Janka, a usta szepczą:—„Już, już śpię“.

I usnął Janek z uśmiechem na ustach, a przez okno kiosku wpadały na jego jasną główkę białe, śnieżne gwiazdki. Śnieg

padał na skostniałe rączyny, zasypywał gazety, a Janek spał i nic go już obudzić nie mogło.

Koło kiosku przechodziły tłumy ludzi. Niektórzy śpieszyli się, inni szli krokiem spacerowym. Srebrny śmiech rozbawionych pań wdzierał się do wnętrza budki gazeciarskiej, ale nikt nie spojrzał na niesamowicie uśmiechniętą twarz chłopca.

Janek spał snem wiecznym.

Śnieg rozścielał się grubą warstwą na ulicach miasta, a na policzkach Janka tworzył powłokę lodową... coraz grubszą...

Roztopiły ją gorące łzy, co wkrótce popłynęły z oczu pochylonej nad nim matki.

Laszka.

Dla Ciebie, Czesiu.

Zimowy wieczór. Wicher zawodzi żalobną dumkę, świszcze przeciągle, wyje. Hen, gdzieś z horyzontu, zdaje się, szatan jedzie, by pożreć ziemię.

Tumany śniegu, a w powietrzu te przeciągłe jęki wichru...

Czesiek siedzi przy stoliku i opracowuje laborat lekcyjny dla następnego dnia szkolnego. Co chwila podnosi wzrok od białej kartki papieru i smętnie patrzy w zawiane śniegiem okno. Jakiś niepokój targa jego wnętrzem... coś przeczuwa... coś, co mu nie pozwala skupić uwagi w pożądanym kierunku.

Zadumał się: — Tyle lat spędziłem w murach szkoły, tyle przeżyłem tam chwil wesołych i smutnych... a wysiłek ostatnich dni przedmaturalnych, kiedy całe noce razem z kolegą Sakowskim spędziłem w przechowalni internatu, wchłaniając wiedzę...

Tyle pracy!... tyle pracy!...

Dziś... siedzę w zapadłej, kurnej wsi...

Znikąd pomocy w żmudnej, twardej pracy nad dziećmi, których rodzice nie umieją ocenić mego wysiłku...

— Ach, Boże! Naprawdę wyczerpuje taka praca — westchnął prawie z rozpaczą Czesiek.

— Co? Skąd przyszedł na mnie ten pesymizm? Widocznie pogoda tak na mnie działa — przeleciało mu przez głowę.

Zagarnął czarną, bujną czuprynę do góry i zagłębił się ponownie w pracy.

— Hej! jakto było kiedyś na zawodach! Pędziło się 200 metrów, że aż kurz szedł.

Sport!... Dobre to były czasy... ćwiczyło się, smuciło się... weseliło się...

Tak, sport dał mi dużo. Nabrałem siły, a to duży plus, wielka pomoc przy tak ciężkiej pracy, jak moja.

Ileż to wspomnień łączy się z czasami szkolnymi!

Hej, hej, weselisko, jedzie, jedzie od Sieradza...

— Tak, to tak, ale czy też tam napalą w szkole? Wicher wyje. Zawieja, zdaje się, chatę za chwilę rozwali...

W chacie rozległ się skrzyp pióra. Nad stolikiem widać było czarną czuprynę i zmarszczone czoło Ostasza.

— No! Nareszcie!

Wyciągnął muskularne ramiona i po zmówieniu modlitwy ułożył się do snu.

— Ależ tu zimno. Brrr!

Naciągnął koc, zgasił lampę i za chwilę chrapał.

Ciemno... Przyzwyczajone do ciemności oczy mogą wyróżnić: stolik, ławę. Na stoliku widać kartkę białego papieru, w kącie kuferek. Łóżko, obok krzesło z ubraniem. Z pod koca wygląda twarz Czeška.

Zmęczony całodzienną pracą, śpi snem sprawiedliwego.

Godzina dwunasta w nocy.

Na dworze żywił zimy snąc oszalał i postanowił zniszczyć wszystko, co spotka...

Spoteźniał.

Dokoła głucho noc.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,

Co to będzie? co to będzie?

Cichy skrzyp drzwi, wyróżnił się na tle stłumionych odgłosów srogiej wichury zimowej.

Czesiek śpi.

Przez drzwi wsuwa się do chaty olbrzymia... klekocąca kośćmi... o trupiej twarzy... zjawa.

Sunie naprzód!

W ciemnej chacie wyraźnie rysują się kształty białej zjawy, sunącej do łóżka Czeška.

A Czesiek śpi.

Coś strasznego mu się przysniło. Rzucił się na łożo. Twarz jego przybrała wyraz wielkiej trwogi. Mięśnie rąk narbrzmiały, jakby przy okropnym wysiłku.

Biała zjawa coś tajemniczo szepnęła nad łożem Czeška. Uczyniła jakiś złowieszczy znak... od którego twarz Czeška przybrała straszliwy wyraz.

Rozległ się szatański chichot—zawiei? Nie. To zjawa z niezrozumiałego powodu dała upust swej wesołości.

Straszny był ten śmiech...

Taki śmiech krew zmrozić może w żyłach najodważniejszego człowieka.

I znowu chatę zaległa cisza.

Czesiek śpi. Trwoga zniknęła z jego twarzy. Oddycha ciężko, jakby przeżył coś strasznego.

W chacie ciemno... głucho...

W kącie słychać zawzięte chrupanie myszy. Zawieja na dworze przycichła. Natomiast noc głęboka ciemnym i grubym płaszczem okryła świat.

Przy łóżu Czeska znowu ktoś stoi...

Śpiący śmieje się przez sen.

Jaki zadowolony!

Kto to? Cisza.

Nie widać nikogo.

Chatę ciemną rozjaśnił księżyc. Zawieja na dworze ustała. Czesiek śpi. Śpi teraz już snem spokojnym.

Ranek. Czesiek ubrany przegląda sporządzony poprzedniego dnia laborat. Tu i owdzie coś poprawi, przekreśli, doda.

— No, nareszcie!

— Mam jeszcze pół godziny. Tak mi się spać chce. Co za licha?

Ja się nie wyspałem? Jakies dziwne sny pamiętam.

Ee, sen mara, Bóg wiara!

Naciągnął palto, włożył czapkę i, wzięwszy potrzebne podręczniki, ruszył do szkoły.

Wszedłszy do klasy, poczuł jakiś swąd.

Nie zwrócił jednakże większej na to uwagi.

Dzieci zebrane, powitały go powstaniem.

Czesiek siadł za stołem i rozpoczął lekcję.

W tem ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę!

— Proszę pana. Andrzejowa zasłała, może pan coś pomoże?

— Już idę.

— Słuchajcie, dzieci! Przeczytajcie następną powiastkę, a jak przyjdę, opowiecie mi, co tam ciekawego wyczytałyście.

Naciągnął palto, wziął czapkę i poszedł do Andrzejowej.

Pomógł jej, jak umiał, i ruszył z powrotem do klasy.

Coś go tknęło.

Tam coś musiało się stać.

Biegł. Zasapał się i zgrzał.

— Co za przecucie?...

E, nic takiego. Uspakajał się, pomimo to jednakże biegł coraz prędzej.

Wchodzi do klasy — cisza.

— Felek! — Cisza.

— Bartek! — Cisza.

Wtem uderzył go silny swąd czadu.

Zrozumiał!

Poroztwierał okna, drzwi i zabrał się do ratowania dzieci.

Przybiegło kilku wieśniaków ze wsi. Czesiek dał im instrukcje. Zgrzał się, zdenerwował. Dzieci jednakże zostały uratowane.

Przygnębiony wypadkiem, wrócił do domu. Przez ciało jego przebiegały zimne dreszcze. Czuł, że się z nim dzieje coś niedobrego.

Wtem... zrobiło mu się źle... pociemniało mu w oczach, pokój zawirował...

Czesiek padł, kierując się ostatkiem świadomości, na łóżko.

Drugiego dnia rano otworzył oczy, spojrzał przytomniej dokoła, wyszeptał „pić!” i znowu zapadł w stan nieświadomości.

— Do ataku! biegiem marsz!

— Niech żyje Polska!

— H. ! ha! ha! ha!.....

— Otwierać okna! Prędzej!

— Co? Ja nie zdam matury?! Muszę!

— Hop! No, myślałem, że tej wysokości nie wezmę.

— Do, re, mi, fa...

— Co? To ty? O, jakaż ty dobra!...

— I ja mam w takiej zapadłej wsi uczyć!...

— Hej, hej, weselisko! jedzie, jedzie...

— Oj! bolil!..

— Pić!..

— Co? Ja nie podołam pracy?..

— Ja! Ja! Patrz tu! Widzisz?... Odejdź!..

— Nie rusz!..

— Ha! ha! ha! ha!

— Raz — dwa! raz — dwa! Prawa.....

— Drużyna śpiewa... drużyna wędruje...

— Precz stąd!...

Ciemno.

W izdebce słychać charchot nawiedzonego gorączką Czeška.
Na dworze zawieja. Chata trzęsie się pod silnymi uderzeniami wichru.

Na tle ciemnych drzwi stoi jakieś dziwne zjawisko.
Oczy wielkie, błyska zębami... ręce długie... włos rozwiany...

Idzie do Czeška!

W jednym kącie i w drugim!

Co to? Cała izba napełniona zjawami...

Wszystkie suną do Czeška!

Zakrzywione paluchy jednej chwytają go za gardło.

— Ha! Precz! Hrrrr... hrrr... N...i...e r... r... r... usz!

— Ratunku!...

— No! Ja wam dam!...

Pryśło okno wyrwane przez Czeška. Trzasło łóżko.

Chatę napełnił tuman śniegu.

Zgrają duchów pierzchła.

— O! Jak dobrze...

— Alem da! Br... zimno!

Owiają się w kołdrę i, zmęczony zmaganiem się ze zjawami, pada w kącie izby. Z ust wyrывa mu się coraz szereg pourywanym zdaniom, wyrazów.

— M... chodź tu!

— Gdzie ty!

— Oj! ja biedny!...

— Pić!... Pić!... Pić!...

— Dajcie pić!

Zaniepokojony dwudniową nieobecnością nauczyciela stróż szkoły ruszył, na drugi dzień po wypadku z zaccadzeniem, do jego chaty,

— A to co?

— Okna powybijane!

— W chacie pełno śniegu.

— W kącie leży z posiniąłą twarzą sam nauczyciel.

Kilku gospodarzy, którzy przybiegli na alarm stróża, zajęło się odwiezieniem „pana” do miasta.

Jeden zaprzęgnął konie i we trzech weszli do wnętrza chaty, by przenieść nauczyciela na sanie.

— Kto tu?

— Znowuście przyszlili!

— Ha! Poszli!

Wywrócił dwu, trzeci z wieśniaków zdążył wyskoczyć przez okno. — Toczno zwarzował — kiwając głowami, mówili między sobą chłopci.

Sześciu zdrowych wieśniaków ruszyło ławą do Czeška, schwyciło go i, obezwładniwszy, rzuciło na sanie.

Chłop zaciął konia i ruszył do miasta.

Kilka razy musiał się szamotać z chorym, gdy ten, trawiony gorączką, silnym rzutem ciała usiłował wyskoczyć z san.

W szpitalu chorego rozebrano, umyto, zbadano i ułożono do łóżka.

Okazało się, że jest chory na tyfus.

— Ty! tu? O jakaś ty dobra! Nie zapomniałaś?

— Tato!

— Mamo!

— Mamo! mamol weź to straszydło!

— Stoi! Tam! Stoi w kącie.

— Mamo, ja cię tak kocham!

— Mamo, ty taka dobra!

— Proszę pani przełożonej!

— Oj, pomóżcie!

— Co ja wam zrobiłem?

— Tato! Tato!

— O Boże! Boże!

— Tyle pracy, na darmo!

— Poczóm się tyle lat męczył?

— Ja chcę żyć!

— Hrr. O Boooooz... zmił... u... się... n...ad de...m grzesz... n...y...m!...

Rano na łóżku szpitalnym znaleziono trupa.

Sobota 13 grudnia, godzina 8 rano.

Kaplica szkolna napełniona.

Ołtarz kaplicy oświetlony.

Przed ołtarzem ks. prefekt, ubrany w czarny żałobny ornat.

Chór seminaryjny. Grono nauczycielskie.

Szkoła Cwiczeń.

Cóż jest powodem tak licznego zgromadzenia?

Któż jest ten, na czyją intencję odprawiać się będzie żałobna msza św.?

Dlaczegoż w tylu oczach widać łzy?
Chór seminaryjny odśpiewał szereg żalobnych pieśni.
Msza św. skończona.
Ks. prefekt mówi o ś. p. Czesławie.

Z dziedziny myśli i uczucia.

Kiedy wokoło nicość zionęła straszną pustką i milczeniem, stworzyłeś przestrzeń i czas i powołałeś mnie z mroków nicości do tego, czem jestem. Straszonym wydawał mi się mój byt, gdyż byłem sam i ciemność była we mnie i nazewnątrż mnie. Ale Ty, o Dobroczynny, ująłeś moją dziecinną rękę i wskazałeś w dal, a skoro zwróciłem tam swój wzrok, ujrzałem oslepiający blask...

Wtedy Ty zniknąłeś, a ja zostałem znów sam. Stałem bezradny i już zaczynałem wątpić, gdy spojrzałem na ową po-złotę, na ów blask, a skoro przyzwyczailem wzrok, ujrzałem— w wieczność zakłętę Piękno, ujrzałem—Ideę.

Poczułem wtedy straszną tęsknotę i nieprzepartą chęć Dążenia, rzuciłem się przed siebie, rzuciłem się z rozwianym włosiem i ogniem w oku... mijały lata, wieki, ery, a ja — nie-pomny na nic — szedłem, zapatrzony w moją gwiazdę.

Przyszły jednak chwile, kiedy traciłem ją z oczu. Ty wiesz, jakie wtedy piekło zradzało się we mnie: upadałem, wbi-jałem ostre odłamki skał w nagie kolana i krwawem ciałem uderzałem o kamienie... Z piersi moich wydobywał się jęk chrapliwy, a do serca, zmęczonego wiecznem tułactwem, wkra-dał się szatan — Zwątpienie.

Mówiłem wtedy, że nie istniejesz, że jesteś mrzonką, tak samo jak gwiazda, którą miałem niegdyś przed oczyma, że ja sam jestem przypadkiem, tak jak wszystko dokoła.

Wtedy jakiś piekielny rehot rozlegał się w przestrzeni i napełniał mnie trwogą — to echo moich myśli, to szatan śmiał się ze mnie zwycięski. A gdy zacząłem ze strachu stawiać mu ołtarze, uczynił jeszcze jedno kłamstwo, które ja zacząłem uważać za świętość — wskazał na kołyskę i trumnę, mówiąc: „To jest alfa i omega twego życia”.

Znów minęły wieki, a ja tarzałem się w prochu, obolały, głuchy i oslepy na wszystko, co nie było Myślą, śmiałem się, choć dusza moja z bólu wyla. Staralem się wmówić w siebie, że jest mi dobrze, że zgłębiłem całą prawdę życia.

I tak staczałem się w przepaść coraz dalej i dalej. Cza-sem, gdy otrząsałem się na chwilę z tego odrętwienia ducho-

wego, przerażenie ogarniało mnie straszne, chciałem się cofnąć, ale nie mogłem, sił nie miałem i, wybuchając szlochom, mówi-łem — za późno! Wtedy Ty zwracałeś ku mnie pełne nie-biańskiej słodyczy oblicze, a widząc moją niedolę, płakałeś na-de mną, o Boże. A kiedy przychodził upadek zupełny, kiedy już, zdawało się, padałem w objęcia nieskończonego zła, przy-szedłeś do mnie i stoczyłeś o mój byt walkę z szatanem. Stras-za na to była walka. Wszeczeńświat trząsł się od huku piorunów, szumów, świstów i jęków, wypełniła się Wszeczeńprzeźreni opa-rami różnokoloroweni, błyskawicami, chaos zapanował jak ongiś, cała natura czuła Twoją Moc. A ja stałem, obłąkany, pod skałą, czekając z trwogą końca, aż znów ujrzałem Ciebie.

Szedłeś, Zwycięzco, do mnie nie poto, aby mnie zniwe-czyć, jak mniemałem — szedłeś z uśmiechem na Boskiem Twem obliczu, aby wskazać mi znów mój Cel, dla którego mnie stwo-rzyłeś, mianowicie — Wieczne Piękno.

Dzisiaj dążę do tego celu.

Dzisiaj zbudowałem z kilku, nędznych napozór, myśli sta-tek, na którym płynę po oceanie życia, i pomimo, że zapadałem się czasem w otchłań, jednak znów wydobywam się z toni, wypływam na wyżyny. Czuję swoją potęgę w całej pełni, bo wiem, że nie umrę. Nie zraza mnie świadomość, że po kilku milionach lat kości tylko będą bieleły na powierzchni mojej umarłej kolebki i z całej mojej kultury zostaną gruzy i popioły. Nie zraza mnie ta pozorna zagłada, bo myśl moja jest wieczną, bo wiecznym jestem ja.

Kotłowski.

Komunikat Rady Naczelnej w sprawie przyszłych wyborów

Zaraz po powrocie z świąt Bożego Narodzenia zostanie ogłoszony okres wyborczy. Z chwilą ukazania się komunikatu zaczyna się okres bardzo ważny w życiu naszej organizacji: ma-my bowiem w niedalekiej przyszłości wybrać tych, którym po-wierzymy kierunek pracy na rok 1928.

W okresie wyborczym każdy członek, każda grupa jedno-sek może tworzyć listę kandydatów do Rady Naczelnej. Lista wyborcza nie przedstawia nic nadzwyczajnego. Jest to zwykły arkusz papieru, u góry zaopatrzony w odpowiednie hasło, jakie przyświeca członkom, tworzącym tę listę, poniżej zaś są wy-pisane nazwiska kandydatów.

Po ustaleniu listy kandydatów chodzi o zebranie 50 pod-pisów — tyle ich bowiem potrzeba, żeby lista została prawnie

uznana i zarejestrowana pod odpowiednią liczbą przez Komisję Wyborczą. Pierwszy, który się podpisuje na danej liście, nosi tytuł „zaufanego listy” i wchodzi w skład powyżej wymienionej komisji, on też w głównej mierze przyczynia się do zebrania niezbędnych podpisów.

Tu właśnie otwiera się pole do wyzyskiwania nieświadomości członków, szczególnie młodszych. Z tego względu Rada Naczelna chce zwrócić na to uwagę i uprzedzić przed mogącymi mieć miejsce nadużyciami, leży to bowiem w interesie dobra organizacji, a zatem nas wszystkich.

Tworzący listy powinni przede wszystkim sobie jasno zdawać sprawę, kogo wysunąć jako kandydata. Prawo wybieralności według statutu przysługuje kolegom i koleżankom z trzech starszych kursów, lecz to nie wystarczy, żeby już wiedzieć, kogo umieścić na liście. Trzeba dobrze rozważyć, czy jednostka, którą się chce zamieścić na liście kandydatów, podoła swemu zadaniu, czy zna organizację, czy orientuje się w pracy: jednostka, która ma stać na naczelnym stanowisku, poza sumiennością i dokładnością w pracy musi odznaczać się pewnymi zdolnościami organizacyjnymi i doświadczeniem.

Nie może się tu znaleźć jednostka, która po raz pierwszy zetknie się z pracą, z planami i t. d. naszej organizacji, gdyż w takim razie narażony zostanie na upadek dorobek poprzednich lat.

W żadnym wypadku nie należy kierować się sympatjami i względami osobistymi, gdyż to prowadzi do niepożądanych wyników.

Uwagi powyższe przyjąć powinni starsi jako przypomnienie, młodzi zaś koledzy i koleżanki jako wskazówki. Są to właściwie mało mówiące ogólniki, lecz Rada Naczelna od tego pragnie rozpocząć swą pracę przygotowawczą do wyborów. Poza tem organizowane będą zebrania informacyjne, oraz wydawane szczegółowe ogłoszenia.

Zawczasu myślny o tem, kto ma wejść w skład Rady Naczelnej.

Rada Naczelna.

Odpowiedzi Redakcji.

„Noe z 26 na 27 czerwca b. r. w Warszawie”. Ze względu na ilość i jakość innych artykułów nie możemy chwilowo zamieścić i postanowiliśmy zacząć od pory stosowniejszej.

„Nasz kurs”. Nie skorzystamy, gdyż nie podoba się nam ujęcie rzeczy prawie zupełnie pozbawione pierwiastka opisowego i narracyjnego, i styl więcej niż lakoniczny.

Krytyka obrazka „Nasz Jasio”. Po dłuższym namyśle postanowiliśmy nie wydrukować. Wprawdzie wyczytaliśmy w artykule niejedną cenną uwagę i szereg ciekawych spostrzeżeń, ale z poza nich wygląda obrażone oblicze autora, który widocznie postanowił za wszelką cenę „odwdziżyć się” swemu przeciwnikowi i walcząc z nim na słowa, nie zawahał się nawet użyć bronii, której na imię -- złośliwość. Takiej krytyki żadną miarą nie możemy uznać za pożyteczną — to główny powód naszej odmowy.

„Moje spostrzeżenia”. Nie zamieszczamy. Połączenie obrazka rodzajowego, wcale udatnego, z rozprawką psychologiczno-wychowawczą nie wyszło na dobre całości. Styl bez zarzutu, zaś uwagi na temat psychologii dzieci, aczkolwiek zupełnie słuszne i rozumne, są powszechnie znane.

„Spotkanie”. „Halucynacja zdrowego umysłu”. Pojedyncze tylko myśli, wyodrębnione z całości, są zrozumiałe, a nawet czasem oryginalne. Całość natomiast, w obu artykułach, do tego stopnia mglista, że w żaden sposób nie udało nam się zrozumieć, o co autorowi chodzi.

„Na wieki nas opuścili!” Drukować nie będziemy. Nekrolog psują rymy gramatyczne, ale mimo to prosimy nie zrażać się i nadal próbować swych sił na tem polu.

„Siła natchnienia”. Nie skorzystamy. W wierszu, naogół udatnym, rażą usterki stylistyczne, a nawet logiczne, niemniej uważamy utwór za dowód wyraźnego uzdolnienia i prosimy o dalszą współpracę.

„Harcerzowi z kursu II męskiego”. Rozrywki przyjęliśmy, jako nadające się do druku, ale umieszczenie ich w „Młodej Myśli”, odraczamy do czasów późniejszych.

„Z zaświatów chwila” Nie wydrukujemy, gdyż nie zgadzamy się z autorem w jego chęci ucieczki od życia. Że niedoli wiele na świecie, któż w to wątpił! Ale czy to powód, ażeby opuścić ręce i zamiast w czynów stał, uderzyć — w płacz? Forma wiersza każe nam zachęcać autora, by nie wianiedbywał zdolności, których poemat jest wyraźnym świadectwem.

„Ile dni w roku uczeń pracuje”. „Wigilja sieroty” oraz „Piłka siatkowa”. Nie umieszczamy z tego względu, że nadeszły za późno.

REDAKCJA.